

Magdalena Kreft, Józef Bachórz

Robić to, co jest potrzebne : rozmowa z prof. dr hab. Józefem Bachórzem : zapis spotkania z cyklu "Dialogi z tradycją"

Jednak Książki. Gdańskie Czasopismo Humanistyczne nr 5, 283-308

2016

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JEDNAK KSIĄZKI



GDAŃSKIE CZASOPISMO HUMANISTYCZNE

2016 nr 5

Reportaż literacki. Pogranicza

PROLEGOMENA

ROBIĆ TO, CO JEST POTRZEBNE.

ROZMOWA Z PROF. DR HAB. JÓZEFEM BACHÓRZEM

(ZAPIS SPOTKANIA Z CYKLU „DIALOGI Z TRADYCYJĄ”*)

Dr Magdalena Krefc: Serdecznie witam Pana Profesora, witam Państwa tak licznie zgromadzonych. Cieszę się, że przyszło tyle młodzieży, tylu studentów, którzy znają Pana Profesora z nazwiska, ale już nie mieli okazji spotykać Go na korytarzu, brać udziału w Jego wykładach, słuchać. Ale to jest dla nich bardzo ważne nazwisko i myślę, że bez przymusu, z nieklamanej potrzeby serca tu przyszli. Panie Profesorze, wiem, że powinniśmy zacząć *ab ovo*, ale ja zacznę *ab verbo* – od słowa. Ponieważ na początku było Słowo. Pan Profesor niewątpliwie jest doskonałym opowiadaczem i stylistą, jest gadaczem wrażliwym na słowo mówione i pisane. I na styl. Niektóre z Pana anegdot, także te o słynnych badaczach literatury, będę przechowywała w moim sercu do końca życia. Jak bardzo Pan jest na słowo i na gadanie czuły, niech świadczy taki oto fragment, który przeczytam na dobry początek. Jest to fragment posłowania Pana Profesora do *Chłopów* Reymonta:

* Projekt „Dialogi z tradycją” to spotkania z profesorami gdańskiej polonistyki, w których opowiadają o swojej biografii naukowej, mistrzach, ścieżce edukacji, współczesnej humanistyce. Rozmowa z profesorem Józefem Bachórzem miała miejsce w kwietniu 2012 roku.

„Kultura tradycyjnej wsi [...] jest niewyobrażalna bez mnogości gadania. Gadania przebogatego. Gadania w drodze do roboty i przy robocie, na podwórzu i w chalupie, koło kościoła i na przydrożku. Gadania o wszystkim i we wszystkich tonacjach. Złorzeczenia i gadania <<po dobremu>>. Zagadywania, dopytywania się, dopraszania, wyżalania, dziękowania, przekomarzania się, dowcipkowania, dziwowania się, rozpamiętywania. Mamrotania, pomrukiwania, jazgotania, skielczenia, biadolenia, przygadywania, wyzywania, wrzasku”¹.

Panie Profesorze, zacznijmy dialog, dialog z tradycją, z Panem Profesorem. Jak sam Pan kiedyś wyznał, urodził się Pan pół tuzina lat przed drugą wojną światową we wsi Lipie koło Rzeszowa. I jak to też Pan napisał później w żartobliwym fragmencie autobiograficznym, w dzieciństwie trudnił się Pan „pasterstwem”, „ręcznymi pracami rolnymi” oraz „robotami z zaprzęgiem konnym”. Przyznał Pan też, że w pięćsetletniej historii Lipia był Pan pierwszym obywatelem, który złożył maturę i następnie został profesorem, czyli nauczycielem. Jak Pan wspomina ten okres swojego życia, co zadecydowało i kto zadecydował, że postanowił Pan ruszyć w świat jak bohater Prusowskiej noweli, ten świat poznać i...

Głos z sali: Podbić.

Józef Bachórz: Proszę Państwa, ja z tego Lipia nie wyjechałem nieodwołalnie i na stałe, bo ja tam często bywam – zwłaszcza myślami, choć ono, to Lipie, wyglądem się bardzo zmieniło. We wspomnieniach moich i we snach jego pejzaż jest taki jak przed 70 lub 60 laty, tymczasem w rzeczywistości dzisiejszej – różnie to bywa... Ale ja „na Lipiu” bywam także (w tamtych stronach mówi się nie „w Lipiu”, lecz „na Lipiu”). Właśnie wczoraj stamtąd wróciłem, ponieważ zostałem zaproszony przez jedną z wnuczek mojej siostry Genowefy na wesele – w charakterze eksponatu rodzinnego z odległej przeszłości, bom najstarszy wiekiem, ale i z oddali egzotycznej, bom aż znad morza... I oczywiście cieszyłem się, że jest to wesele, ale równocześnie martwiłem się, że ja na tym weselu właściwie już się nie umiem się zachować. To są inni weselnicy i inne wesela teraz niż te, które bywały za „moich czasów”. Np. połowy tych piosenek, które teraz były śpiewane, to ja już nie znałem – a nadal na weselach (a i poza weselami) śpiewania było tu dużo. Młodzież weselna podobała mi się, ale chwilami nieco i denerwowała – np. ubiorami albo i ufryzowaniem: jak to młodzież... Natomiast obrzędy, które były nazywane dawnymi nazwami, np. czepiec (oczepiny), kompletnie nie przypominały tych oczepin, które ja przed półwieczem „odprawiałem” na „urzędzie” (taki „urząd” nazywało się: „starszy swat”) na weselu mojej siostry. Pamiętam, jak o północy w izbie przy „obtańcowywaniu” kolacza muzykanci grali, śpiewaczki popłakiwały – wszystkie kobiety były śpiewaczkami – a długa i rzewna piosenka, tylko przy takiej okazji śpiewana, zaczynała się od zwrotki:

¹ J. Bachórz, *Reymont i „Chłopi”*, [w:] W. S. Reymont, *Chłopi*, T. 2, Warszawa 1999, s. 618.

„Na Podolu siwy kamień,
Podolanka siedzi na niem,
Siedzi, siedzi, wionki wije
Z biolej róży i lelije”.

(Kołacz to był umajony sztucznymi kwiatkami odświętny bochen chleba z białej pytlowanej mąki ustawiony na stole środku izby; starszy swat go przez chwilę „obtańcowywał” wokół stołu, trzymając oburącz nad głową, a potem prosił do tańca po kolei innych chętnych, którzy pod talerz na stole kładli prezencik pieniężny; tancerzem byłem marnym).

No więc to jest tak, że ja – choć z Lipia właściwie wyjechałem – to i nie wyjechałem. Lipie jak na galicyjskie stosunki jest wsią niewielką. Sąsiednia wieś – Bratkowice – ma mieszkańców około pięciu tysięcy, wieś Budy Głogowskie – ponad dwa tysiące. Lipie ma tych mieszkańców z pięć setek, chyba nawet niecałe pięć setek. Wioska to taka sobie: ani gorsza, ani nie lepsza od innych. Droga przez Lipie wiodąca ma niewiele ponad kilometr. Ziemia tu na przemian piaszczysta (pola) i podmokła (łąki). Bachorzowie (w moich stronach „ó” w tym nazwisku jest wymienne na „o”) mieszkają tu od wieków i Bachorzów z imieniem Józef w czasach mojej młodości było paru. Kiedy dostawałem na wakacjach listy od jednej koleżanki z miasta Łodzi (w mieście moich studenckich lat mówiło się „z miasta Łodzi”, bo „z Łodzi” brzmiało jak „złodziej”), to mi imiennik, syn Bolka Bachorza (ja jestem synem Alojzego Bachorza), przynosił koperty otwarte, bo Józek Bolków mieszkał w środku wsi, gdzie listonosz docierał wcześniej niż na „mój” skraj Lipia, i ten właśnie Józek dopiero po otwarciu koperty orientował się, że to list nie do niego, na dodatek – na moje szczęście – pismo w nim gorzej czytelne niż na kopercie...

Lipiu zawdzięczam dużo. Mądrze to ujął poeta w wierszu dla mnie pamiętnym:

„Nieraz myślisz, że zdanie urodziłeś z siebie,
A ono jest wyssane w macierzystym chlebie;
Albo nim nauczyciel poił ucho twoje [...]”

To cytat z Mickiewiczowego wiersza *Do Joachima Lelewela*. Ja oczywiście wiem, z czego się „po drodze” w życiu nauczył niby to „z siebie”, ale zarazem uświadamiam sobie, że najwięcej nauczyłem się w rodzinnym domu i w jego pobliżu – i ta wiedza nieraz rozstrzygała o tym, jak

się toczyły moje losy. Pewno, że człowiek wielu rzeczy się nauczył z wędrówki przez życie, ale do tej wędrówki wchodził z zapasem słów „domowych”, z pierwszymi swoimi wspomnieniami ludzi najbliższych i najważniejszych, ze wzruszeniami, z pojęciami robót, ale i z głupstwami, które nabroił i których się „wstydał”.

Nie ma już wiejskiego Lipia takiego, jakie było. Niewiele w nim tego zostało, co stanowiło wieś mojego dzieciństwa. Dziś domy prawie wszystkie murowane – w czasach mojego dzieciństwa nie było ani jednego murowanego; oprócz szkoły wszystko drzewiane, większość budynków – domów (chałup), stodół i stajni – kryta strzechą, przy wielu domach studnie z żurawiem. Figurki przydrożne zostały – a pięć ich stoi – ale jakieś smutne i оголоcone – dawniej je otulały drzewa. Teraz zresztą je poprzestawiano, bo drogi się poszerzyły (do jazdy samochodów), a świątki w tych figurkach stoją albo kłęczą bez drzewostanu i krzewiny przydrożnej. Ludzie też się pozmieniali; moi rówieśnicy poprzenosili się w świat albo w zaświaty, ruch się we wsi przykurczył, bo przestało być rojno po polach (na polach wydobywa się żwir, a po żwirowiskach powstały jeziora), nie chadza się też po podworcach po wodę do studni (nie ma studni – jest wodociąg), nie drepce się do obory czy stajni, bo się nie „trzyma” krów ani koni. Wieś – dawniej małorolna i na każdym skrawku uprawna – stała się teraz bezrolna; podstawą utrzymania ludzi jest – jeśli ma się szczęście – praca w Rzeszowie, odległym od 12 kilometrów – albo się szuka zarobku na jakichś saksach. Życie poprzenosiło się do domów, w okolice telewizorów, albo do jazdy autobusami lub samochodami – do kościoła się nie chodzi, lecz się jeździ (3 kilometry do sąsiedniej wsi Mrowli, a „po drodze” piechotą iluż to nowin i plotek można było się było nasłuchać!), Ludzie się znają i kontaktują, ale w inny sposób i chyba słabiej niż za „moich czasów”.

M.K. Panie Profesorze, powrócę do dzieciństwa, zapytam, jaką rolę w historii tego pięćsetletniego Lipia odegrał Stanisław Szostek, bo myślę, że to było ważne dla Pana. Józef Bachórz miał siedem lat, kiedy otrzymał od Stanisława Szostka portret².

J. B.: Tak, to się zgadza. Stanisław Szostek, rodem spod Rzeszowa, nie miał chyba 30 lat, pracował i mieszkał „na Lipiu” (nie mówiło się „w Lipiu”) w niewielkim mieszkanku w lipieńskiej szkole. I zmarł chyba w roku 1942 albo 1943; przeżył się, kiedy chadzał wieczorami do sąsiednich wsi z jakimiś sprawami konspiracyjnymi, ale nie wiem, co to za konspiracje, bom był za smarkaty, żeby takie rzeczy wiedzieć. Dorabiał też malowaniem kafli w kaflarniach za Rzeszowem. Na Lipiu rysował portrety – pierwszy taki portret mnie właśnie wyrysował, a później malował także portrety kolorowe. Był nauczycielem, którego pamiętam serdecznie. Do klasy

² Portret zamieszczony w publikacji Album Gdańskie. Prace ofiarowane Profesorowi Józefowi Bachórzowi na siedemdziesiątą piątą rocznicę urodzin i pięćdziesięciolecie pracy nauczycielskiej, pod red. J. Daty i B. Oleksowicza, Gdańsk 2009.

przychodził ze skrzypeczkami i już po przekroczeniu progu pięknie grał „Kiedy ranne wstają zorze”, a myśmy „na stojąco” śpiewali. Co tydzień przynosił pięknie namalowany obrazek ze scenką albo z przedmiotem na nową literę – i przybijał na ścianie w pobliżu sufitu, by włączyć się w rodzaj galerii. Czekaliśmy na kolejne fragmenty tej galerii z ciekawością i podziwem. Co prawda nie żałował drewnianej linijki (grubej i na metr długiej) jako „pomocy” dydaktycznej, choć uczniowie byli na ogół zdyscyplinowani, tylko że stosowanie linijki należało do tradycyjnych „narzędzi” edukacyjnych (nawet na lekcjach religii prowadzonych przez księdza ze Mrowli) i nikt się temu nie dziwił ani się na to nie skarżył.

M. K.: Pana też dyscyplinował?

J. B.: Mnie oszczędzał, bo uważał mnie za pilnego, choć z tą pilnością rozmaicie bywało... I chyba nie używał „lenijki” w stosunku do dziewczynek. Szkoła została zbudowana za austriackich czasów i dopiero parę lat temu urząd gminny w Głogowie Małopolskim kazał dzieci dowozić do tego Głogowa, bo ponoć na Lipiu trzymanie szkoły było zbyt kosztowne. W „epoce” mojego dzieciństwa obowiązywał w oświacie marny system jędrzejewiczowski³. W tym systemie w takich wsiach jak Lipie funkcjonowały szkoły czteroklasowe z jedną salką lekcyjną i siedmioletnim okresem nauczania. Lekcje odbywały się na dwie zmiany: rano przez 3 godziny uczyły się klasy czwarte, po nich – klasy I, II i III. Do pierwszej klasy się chodziło rok, do drugiej też rok, do trzeciej dwa lata, a do czwartej – 3 lata... Mam nawet takie świadectwo, gdzie „stoi” napisane: „przechodzi na drugi rok nauki w klasie trzeciej”. Po niej była klasa czwarta „A”, czwarta „B” i czwarta „C”. Każda miała inny podręcznik. Nosily tytuł: *Światło w chacie A*, *Światło w chacie B* i *Światło w chacie C*. W czasie okupacji nie wolno go było używać (władze niemieckie nakazały wszystkie szkolne książki odwieźć do urzędu gminy w Głogowie i tam je chyba palono, ale pojedyncze egzemplarze krążyły po chałupach. Po ukończeniu klasy IVC nie można było się uczyć np. w gimnazjum – można było pójść „do terminu” u rzemieślnika (nie znam takich, co „terminowali”) albo „parobkować” na ojcowskiej roli. Po wojnie nowa władza zlikwidowała jędrzejewiczowski system oświatowy. Ta likwidacja wywołała złościwości przeciwników władzy i grymasy ludzi starszych, którzy skończyli szkołę czteroletnią z siedmioletnim okresem nauczania i uważali „wynalazek” szkoły siedmioklasowej w Lipiu za głupi żart. Pytano: „Kto w lipieńskim świecie widział siedmioklasową naukę?! I po co taka nauka chłopu!?... Z trzeciej klasy przejść do piątej czy z czwartej do szóstej? – to bez sensu!” Ale stało się: kończyłem lipieńską szkołę jako siedmioklasową, a uczył mnie po Szostku nauczyciel, który nazywał się Jan Krzyżanowski.

³ Od nazwiska ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Janusza Jędrzejewicza, który przeprowadził reformę mającą na celu ujednoczenie systemu nauczania po zaborach. System jędrzejewiczowski obowiązywał w latach 1932–1948.

Przybył do nas zza Lwowa – z Wołynia albo z Podola, gdzie się wtedy działy straszne rzeczy. Przyjechał z żoną, Stefanią Krzyżanowską, i z synkami: Jankiem, Lubką i Wyskiem. Nie chodzili do szkoły (najmłodszy był w wieku szkolnym) i z nikim się na Lipiu nie kolegowali. Po latach dopiero zorientowałem się, że Wysiek jest to imię „wycytane” z poematu Łuszczewskiej -Deotymy *Wyszymir i dwunastu wojewodów*⁴. Otóż Krzyżanowski tym się różnił od mojego ukochanego Szostka, że... nie loił uczniów. Ojcowie chłopaków niesfornych byli tym zbulwersowani. Któryś z ojców wezwany do szkoły z powodu jakiegoś draństwa syna przyszedł – i na głos krzyczał, że to łobuz, radząc nauczycielowi: „*Niek mu pon do w ...*” – i tłumaczył dobitnie a „topograficznie”, co i gdzie należy mu dać...

Otóż ci państwo Krzyżanowscy byli sumiennie pracowici, a dla uczniów wyrozumiali i bardzo dla wsi pomocni. Pan Jan prowadził wszystkie lekcje z wyjątkiem śpiewu. Raz z powodu choroby żony prowadził ten śpiew – pamiętam, że uczył piosenki *Już się na zachód słonczko skłania* – minę miał tak niepewną, a głos tak skolatany, że nam aż było go żal. Pani Krzyżanowska śpiewała pięknie i repertuar miała szeroki: od piosenki *Czerwony pas* o Huculach i poloninach po *Góralu czy ci nie żal*, a po wojnie ściany dygotały od polskich piosenek żołnierskich. Parokrotnie w jesienne podwieczorki czytywała nam – tym, którzy chcieli posłuchać – poezję; pamiętam, że wzruszyła nas lekturą *Ojca zadżumionych*. Do jej „dóbr” należała też walizeczka z medykamentami, jakimiś maściami, jodyną i bandażem; ludzie w potrzebie chodzili do niej po pomoc. Państwo Krzyżanowscy *zajongali* troszkę po lwowsko-rusińsku. U nas ludzie nie *zajongają*, chociaż nasz powiat należał „od zawsze” do województwa lwowskiego, czyli od czasów przedrozbiorowych do województwa ruskiego. A *we Lwoni sie zajongalo*. Pan Krzyżanowski tak uczył, że jak poszedłem do Rzeszowa do gimnazjum, to stwierdziłem, że właściwie wszystko to umiem, co tam jest wymagane, i że umiem nie gorzej niż chłopaki ze Rzeszowa.

W Rzeszowie z uczniowską powojenną nawałnicą wiejską różnie bywało. Mieszczanie rzeszowscy starej daty i z austriackim rodowodem – kilku ich poznałem, bo byli ojcami kolegów – traktowali chłopaków ze wsi życzliwie. Mówię: „chłopaków”, bo dziewcząt ze wsi w szkołach rzeszowskich było niewiele. Istniały dwa państwowe gimnazja męskie, bardzo ludne, i istniało tylko jedno prywatne dla dziewcząt, prowadzone przez zakonnice. Podobnie w pierwszych latach po wojnie było ze szkołami zawodowymi. Gimnazja męskie trzymały się od gimnazjum żeńskiego na dystans. Nie było żadnych takich imprez jak wspólne zabawy czy bale maturalne. Koledzy z miasta mieli jakieś randki z dziewczętami z miasta; my – dojeżdżający koleją albo mieszkający na stacjach – oglądaliśmy rówieśne „mieszczki” z daleka – jak stworzenia z innego

⁴ Chodzi o dzieło Deotymy Wojna olbrzymów. Wyszymir. Dwunastu wojewodów z 1860 r..

świata – nie wiadomo było, jak do takich zagadać i jak czytać ich minoderie – a chłopackie zaloty kierowaliśmy do naszych rówieśnic ze wsi.

Miejscy koledzy traktowali nas bez oznak niechęci. Podobnie nauczyciele, wśród których tylko jeden – a prowadził lekcje zajęć praktycznych – przygadywał tym ze wsi, co mu w czymś „podpadli”, złośliwościami w stylu: „ty do widel się nadajesz i do gnoju, a nie do gimnazjum”. Albo: „do pasienia krów, nie tutaj”. Pozostali – a zdarzali się wśród nich mieszczenie z chłopskim rodowodem chłopscy synowie – cieszyli się z dużego wysypu dzieci ze wsi i nie gorszyli się, jeśli któremuś na przerwie wyrwało się słowo gwarowe. My zresztą pilnowaliśmy się, by i na lekcjach, i w kontaktach z kolegami z miasta nie mówić gwarą. W szkole na Lipiu niepisana umowa wymagała, żeby na lekcjach mówić „po szkolnemu”, bo to ładnie, tylko że ten język „szkolny” to był rodzaj recytacji, a językiem „normalnym”, czyli gwarą, gadało się na przerwach i w całym życiu pozaszkolnym. Ta „normalna” nasza mowa była dla wszystkich zrozumiała, wszyscy nią gadali. Jest to gwara mazurząca: „mos cyniawą copeckę”... Wystrzegaliśmy się na lekcjach tego mazurzenia i prócz tego unikaliliśmy w Rzeszowie czasowników w formie: „pójdziewa”, „będziewa widzieć”, a w domu za takie mówienie besztala mnie Mama, przekonana, że nie po to chodzę do szkoły w Rzeszowie, żeby gadać po lipieńsku.

M. K.: Panie Profesorze, mimo że Pan trzy lata robił czwartą klasę, to ja i tak stwierdziłam, że Pan Profesor Bachórz był genialnym dzieckiem, ponieważ w wieku trzynastu lat poszedł Pan do liceum. Dzisiaj mówimy: „liceum”, Pan mówi: „gimnazjum”. Trzyznaście lat Pan miał, kiedy Pan poszedł do gimnazjum, „nie do pierwszego, ale do drugiego” – Pan to tak skromnie mówił o gimnazjum męskim, ale ja muszę państwu powiedzieć, że zrobiłam sobie wirtualną wycieczkę do tego liceum nr 1 w Rzeszowie i Pan Profesor nie powiedział całej prawdy: otóż słynne I Liceum im. Stanisława Konarskiego w Rzeszowie należy do najlepszych i najstarszych szkół średnich w Polsce. Zostało zbudowane w 1658 roku i jest to słynne Kolegium Pijarów z przełomu XVII i XVIII wieku. Jestem olśniona tą szkołą. Lista absolwentów jest imponująca. Oprócz prof. Józefa Bachórza na liście absolwentów widnieje np. Onufry Kopczyński, autor pierwszej gramatyki polskiej, widnieje generał Władysław Sikorski, także święci: święty biskup Józef Pelczar. Jest Ignacy Łukasiewicz, jest Julian Przyboś. A lista nauczycieli też jest imponująca, no bo sam ks. Stanisław Konarski uczył w tej szkole. Uczniowie tej szkoły walczyli pod Wiedniem. Gmach główny zaprojektował nie kto inny, ale jeden z najsłynniejszych architektów architektury barokowej, klasycyzującego baroku, Tylman z Gameren i rzeczywiście to jest imponujące, piękne wnętrze. Muszę powiedzieć, że w takich murach nie mógł nie wyrosnąć wybitny naukowiec i badacz literatury XIX wieku, to musiało się stać.

Chciałam też zapytać, jakiego polonistę Pan tam spotkał, bo właśnie w tym liceum – czy gimnazjum – musiał Pan jednak powziąć plan i myśl o studiach polonistycznych, więc: kto miał wtedy wpływ na Pana życie, na Pana wybory; jacy nauczyciele i czy utrzymuje Pan jeszcze kontakt z tym liceum, z tymi kolegami (no bo z gronem, to już nie)?

J. B.: Zapomniałem powiedzieć, że byłem uczniem kolejno obu tych szkół, ale w żadnej nie należałem do niezwykłych. Niezwykłymi pewno byli wtedy – ale nikt o tym jeszcze nie wiedział – np. Jerzy Grotowski, którego zapamiętałem z którejś szkolnej akademijki jako recytatora jakiegoś wiersza, i może Adam Harasiewicz, który grał na pianinie czy fortepianie, ale to nie byli moi znajomi, a od pianin i fortepianów woląłem wtedy skrzypce...

W 1947 roku zostałem zapisany do II Gimnazjum i Liceum im. Stanisława Sobińskiego, bo miało ono tradycję szkoły matematyczno-przyrodniczej. Egzaminów wstępnych nie urządzano, ale chłopscy rodzice płacili chesne – chyba 500 zł za pół roku. To nie było mało. Po roku chesne zniesiono. Na Lipiu „przeskoczyłem” którąś klasę chyba decyzją pana Szostka, ale kto by tam się na Lipiu kłopotał o numer czy literkę przy nazwie klasy? W sprawie gimnazjum Rodzice naradzili się z państwem Krzyżanowskimi i z tej narady wynikło, że najlepiej zapisać mnie do II Gimnazjum. Mieściło się ono na parterze budynku najstarszej rzeszowskiej szkoły średniej – czyli I Gimnazjum i Liceum im. Konarskiego przy ul. 3 Maja (potocznie: ul. Pańska). W obu tych szkołach pracowali nauczyciele przedwojenni. W roku 1948 II Gimnazjum wyprowadziło się do własnego przedwojennego budynku przy ulicy Krakowskiej, bo od 1945 roku ten budynek służył jako szpital wojskowy Armii Radzieckiej i gdy w 1948 roku Rosjanie oddali ten gmach władzom Rzeszowa, to II Gimnazjum wróciło na dawne miejsce, a w 1949 roku nasze władze oświatowe zniosły podział na gimnazja i licea, zlikwidowały tzw. „małą maturę”, wprowadziły jednolity ciąg edukacji bez profilów kształcenia, a „przy okazji” przekształciły II Gimnazjum i Liceum w szkołę koedukacyjną i w pełni świecką, czyli bez lekcji religii. Ogłoszono, że ci rodzice, którzy nie przystaną na świeckość szkoły, mogą przenieść synów do I Gimnazjum, gdzie nadal będzie religia. Otrzymała się w domu lipieńskim narada z udziałem patriarchy rodu, Dziadka Bachorza, który doradził, że trzeba chłopaka „przepisać” do „starego” gimnazjum, bo bez religii byłoby nieładnie, a jeszcze gorzej – zgodzić się na szkołę z dziewczynami, bo to groziłoby zgorzeniem. W ten sposób znalazłem się w „starym” Gimnazjum i tu dotrwałem do matury w roku 1951. Do szkół rzeszowskich przez większość miesięcy dojeżdżałem koleją ze stacji Rudna Wielka, a każdej zimy przez co najmniej miesiąc mieszkalem na stacji. By dotrzeć z Lipia do Rudnej Wielkiej należało „zaliczyć” żwawym marszem ponad 5 kilometrów drózkami i ścieżkami: najpierw kilometr przez skraj wsi Rogoźnicy, potem półtora kilometra przez pastwisko rogoźnieńskie do Rudnej Małej, następnie półtora kilometra przez kolejne pastwiska

i łąki do Rudnej Wielkiej, a polami za Wielką Rudną ponad kilometr dobiec do stacji i 8 kilometrów koleją dojechać do Rzeszowa.

Przez cały mój gimnazjalny czas linia kolejowa Lwów–Śląsk była przerobiona na szerokotorową, bo stała się głównym szlakiem transportowym pomiędzy ZSRR a Śląskiem i kursowały nią włącznie wagony towarowe. Dwa razy dziennie – rano około godz. 7 i po południu chyba ok. 16 – były pociągi z wagonami towarowymi dla ludzi. Przed wojną nikt „wsiowy” koleją do Rzeszowa nie jeździł – bilety były drogie, na jarmarki chodziło się „na piechotę” – teraz starsi bardzo chwalili dojazdowe szanse „szkolników”. Dojeżdżanie w miesiącach „normalnych” było i dla nas atrakcyjne, bo formowało wspólnotę uczniów „dojeżdżających”. Sprzyjało temu zwłaszcza czekanie popołudniowe na pociąg powrotny do Rudnej, Świlczy, Trziciany czy Sędziszowa, bo to integrowało rówieśników, a miejscem integracji był kolejowy barak PUR-u (Państwowy Urząd Repatriacyjny), w którym – a nie każdego dnia koczowali tu repatrianci – odbywały się gry na żelaznych blatach skrzyń (m. in. naśladująca hokeja gra bilonową 10-groszówką, naganiana do bramki dwiema złotówkami przy pomocy grzebyków, nazywana nie wiem dlaczego cymbergajem). Obsługa zaś PUR-u wydawała nam karnety na poczęstunek gorącą zupą z jakichś zapasów z UNRRA. Lichym natomiast wspomnieniem pozostały mi poranne pobudki („przed kurami”), żeby zdążyć z Lipia do Rudnej. Bez sympatii wspominam też dni słotne lub śnieżne (raz w śnieżycy i ciemnościach przez 3 godziny błądziłem po zaspach na rogoźnieńskim pastwisku nim dotarłem do tej Rogoźnicy – spocony ze strachu!), ale w czas lutej zimy zwykle mieszkalem na stacji. Od 1949 roku do stacji zimowych mogłem trochę Rodzicom dopłacać, bo mnie niektórzy nauczyciele polecali jako korepetytora dla młodszych uczniów (były to korepetycje z łaciny, matematyki, polskiego lub z „całoksztaltu”).

Środowiskiem rozmów „o rzeczach wszystkich i niektórych innych” byli koledzy wybierający się na studia humanistyczne do Wrocławia albo Krakowa. Kontakt ze szkołą podtrzymywałem stale – i do dziś, bom jest usposobienia trochę sentymentalnego. Na zjazdy absolwentów się zgłaszałem, jeśli terminy nie kolidowały z moimi obowiązkami na Pomorzu. Stały kontakt miałem (póki żył) z Ludwikiem Bąkiem ze Mrowli, po studiach polonistą w Wałczu i autorem książek o historii tamtejszego liceum. Do dziś trwa moja więź z Mieczysławem Kleczkiem, kiedyś matematykiem w Uniwersytecie Wrocławskim. Koledzy z klasy maturalnej – a ten oddział liczył aż 54 chłopaków – przez pewien czas nie ciekawili się moją pracą belferską na Pomorzu. Na spotkaniach koleżeńskich nie indagowali mnie o posadę, dopiero gdy się rozniosło, że na uczelniach krakowskich, zwłaszcza na UJ, bywam recenzentem doktoratów i habilitacji także pracowników z uczelni rzeszowskiej – moje akcje towarzyskie zaczęły zwyżkować w kręgach dawnych kolegów gimnazjalnych; trochę się dziwili, że się tym do nich nie

chwalilem. Cieszyłem się też z nawiązania kontaktów z polonistyką rzeszowską, a lipieński rodowód okazał się tu motywem pomocnym. Ostatnio Dyrekcja Instytutu Polonistycznego Uniwersytetu Rzeszowskiego zaprosiła mnie do składu rady programowej czasopisma tamtejszego⁵, i do tego czasopisma napisałem artykuł o jednym sprzed lat absolwencie gimnazjum rzeszowskiego, bo chciałbym, żeby go tu pamiętano⁶. Chodzi o Ludwika Nabelaka, o którym mówi jeden z aktów *Wyzwolenia* Wyspiańskiego, a który przedtem „wystąpił” w ważnym epizodzie w *Salonie warszawskim* III części *Dziadów*. Powiada on tam z goryczą do Piotra Wysockiego o salonowym towarzystwie: „Otoż to jacy stoją na narodu czele”, a Wysocki wtedy odpowiada sławnymi zdaniami: „Powiedz raczej: na wierzchu. Nasz naród jak lawa [...]” itd. Był Nabelak na emigracji polistopadowej człowiekiem publicznego zaufania, przyjaźnił się z Mickiewiczem, Słowacki go poprosił na sekundanta w niedoszłym pojedynku z Ropelewskim, a Norwid dedykował mu wiersz *Toast*. Nabelak ukończył gimnazjum rzeszowskie, gdy po pierwszym rozbiórce ta szkoła pijarska została zsekularyzowana przez katolickie władze austriackie i stała się gimnazjum niemieckim, ale jej absolwent stał się pisarzem polskim, w noc listopadową 1830 roku to on prowadził spiskowców na Belweder, Mickiewicz w rękopisie *Dziadów* drezdeńskich w 1832 roku napisał jego nazwisko, ale w druku zostawił tylko „N”, bo wtedy nie było wiadomo, czy się nie dostał do niewoli rosyjskiej. A znajomość niemieckiego wyniesiona ze szkoły rzeszowskiej przydała mu się m. in. wtedy, kiedy w 1834 roku przetłumaczył na prośbę Niemców na ich język *Konrada Wallenroda*.

Niezależnie od pracy o Nabelaku napisałem obszerny artykuł do książki jubileuszowej na 350-lecie „mojej” rzeszowskiej szkoły o wkładzie jej absolwentów do literatury polskiej od XVII wieku do czasów Juliana Przybosa i Józefa Bieniasza⁷.

M. K.: A poloniści w powojennych gimnazjach?

J. B.: Ich metody nauczania w obu gimnazjach były dość kanciaste, ale nauczyli nas sporo i nie zbrzydzili literatury. W II Gimnazjum polonistą był prof. Szewera, który chyba wiele umiał, ale zbyt pedantycznie znęcał się nad naszymi pracami pisemnymi. Po latach jednak oceniam jako lichą osobliwość profesury obu gimnazjów zawstydzająco szczelne izolowanie nas od historii i kultury naszych stron. Wielcy pisarze z naszych gimnazjalnych lekcji uczyli się lub żyli w Nowogródku, Wilnie, Grodnie, Warszawie, Krakowie itd. – a nasze strony to była pustynia. Żaden Fredro tu nie zajrzał, żaden Wincenty Pol, żaden Krasicki, nawet o Konarskim się nie

⁵ Profesor jest w radzie naukowej „Zeszytów Naukowych Uniwersytetu Rzeszowskiego. Seria Filologiczna. Historia Literatury. Tematy i Konteksty”.

⁶ Chodzi o artykuł: J. Bachórz, *Ze Stobiernej, Głogowa i Rzeszowa w daleki świat. Przypomnienie sławnego współziomka*, „Tematy i Konteksty” 2011, nr 1(6). Jego bohaterem jest Ludwik Nabelak.

⁷ To artykuł *Nasi na Parnasie* w Księdze jubileuszowej Liceum Konarskiego w Rzeszowie 1658–2008 pod red. J. Świebody, Rzeszów 2008.

wspominało... Z nauczycieli pamiętam zwłaszcza łacinników: Władysława Dubasa z II Gimnazjum i Józefa Rączego z I Gimnazjum – łacina w obu tych szkołach należała do przedmiotów szacownych – oraz polonistę z I Gimnazjum. Nazywał się Władysław Długosz i był chłopskiego pochodzenia. Faworyzował chłopaków ze wsi, co nas raczej złościło. W chwilach irytacji mówił belkotliwie, był kapryśny, ale czasem miewał lekcje bardzo ciekawe. Żywił anse do niektórych autorów współczesnych. Nie lubił Przybosia, byli rówieśnikami i w tych samych czasach chodzili do szkoły. Pamiętam, że od Długosza dowiedziałem się o Szaniawskim, bo Długosz wtedy pisywał sztuki teatralne i wysyłał na konkursy, a Szaniawski zwrócił uwagę na jego sztukę *Chłopi Demokracji*. Kontaktowałem się z prof. Długoszem długo, a jego rękopisy z inicjatywy milego mi Jana Pacześniaka, inżyniera-okrętowca mieszkającego w Gdańsku i z ducha polonisty, zdeponowaliśmy w rzeszowskim archiwum; Pacześniak na emeryturze napisał (i wydał w warszawskiej LSW) bardzo dobrą powieść *Nad Widlicą* (to „zakonspirowana” nazwa rzeki Wisłok, przepływającej przez Rzeszów).

Z ciekawostek wspomnę jeszcze, że prof. Długosz niechcący wciągnął mnie w palenie papierosów. Sam nie palił, ale papierosy miał, bo trzymał zapas otrzymywany z jakiegoś tytułu z resztówek UNRRA. Kiedyś poszedłem z jakąś informacją ze szkoły czy od właściciela kamienicy (gdzie mieszkalem na stacji) do profesora, a on – po wysłuchaniu informacji – w pewnym momencie mówi: „Ty palisz!”. Ja myślę: „Skąd on się urwał z tym paleniem? Przecież nie palę i nie ciągnęło mnie do papierosów”. „Nie palę” – mówię. „Wszyscy palicie – mówi profesor. – A ty tracisz pieniądze. Co zarobisz na korepetycjach, to zaraz przefajczysz”. Ja zaklinam się, że nie fajczę, a profesor na to *dictum*: „Nie bujaj, masz tutaj”. I dał mi trzymane pod łóżkiem trzy paletki papierosów. Zbaraniały, wziąłem i nie wiedziałem, co z tym robić. Przyszedłem na stację, ukryłem pod schodami przypiwnicznymi i prócz kilku paczek dałem kamratom palącym, coś tam chachmęcąc i nie mówiąc, skąd to mam. Tuż przed maturą zajrzałem do jednej ze schowanych paczek – i tak się to zaczęło...

M. K.: Panie Profesorze, nie mogę się oprzeć pytaniu: czy w latach liceum przeczytał Pan po raz pierwszy *Lalkę* i *Nad Niemnem*? Czy Pan pamięta swoją pierwszą lekturę?

J. B.: *Lalkę* przeczytałem w liceum, alem się nią nie przejął. Wtedy czytałem natarczywie Ossendowskiego, Karola Maya, czytałem *Rodziewiczównę*, trochę Sienkiewicza – i jeszcze Sieroszewskiego. Sieroszewski był moim ulubionym pisarzem. Takie jego opowiadania jak *Risztan* do dzisiaj pamiętam. Czytałem lektury, jakie były w spisie, ale nie *Nad Niemnem*. Podziwiałem *Monachomachie* Krasickiego. Bardzo mi się podobał Mickiewicz, zwłaszcza *Pan Tadeusz* (ale *Dziady* – nie), a jeszcze bardziej Słowacki, którego *Dumę o Rzewuskim* i *Ojca żądźumionych* pamiętałem jeszcze z lipieńskich wieczorów pani Krzyżanowskiej. *Nad Niemnem* przeczytałem dopiero wtedy,

gdym w Starym Targu i potem w Kwidzynie zaczął „cudze dzieci” uczyć. Nie wypadło, żeby nie przeczytać, bo rodzice moich uczniów pochodzący z dawnych kresów mieli sentymalny stosunek do nadniemeńskich stron.

M. K.: Panie Profesorze, dlaczego polonistyka i dlaczego w Łodzi? Warto przypomnieć, że miesiąc temu profesor Jan Data opowiadał o swoim wyborze studiów, jak rozpaczliwie wysyłał listy do różnych uczelni na różne kierunki – gdzie go zechcą. Jak było z Pana wyborem? Czy Pan wiedział, że to będzie polonistyka i co zadecydowało, że to będzie w Łodzi?

J. B.: Po pierwsze – ja się po zdaniu matury nie wybierałem na studia, choć większość moich kolegów to projektowała i mnie też to przechodziło przez myśl. Ale jakoś mnie to nie wabiło. Cieszyło mnie, że m zdążyłem tę maturę bez problemu, a moi lipieńscy znajomi i krewni ten mój pomaturalny stan traktowali jako apogeum wykształcenia. Nikt tu nie słyszał o jakichś uniwersytetach czy politechnikach, a wielu pytało: „To co teraz będziesz robił?” Bo powszechnie było wiadomo, że „z maturą to wszędzie do roboty wezmą – tylu ludzi bez matury wzięli, to by ciebie nie wzięli? Jak nie chcesz się uczyć na księdza albo „dochtora” (a nie chciałem), to po co ślęczyć nad książkami?” Myślałem, że mam czas, roboty rolnicze wszystkie znam – na wakacjach nigdzie się z Lipia nie ruszałem, a rodzice i dziadkowie cieszyli się, że mają ze mnie wyrękę, że się nie wstydę widzieć, siekiery, grabi, kosy, cepów i żaren, że brony i pluga się nie boją i że lubię zajęcia gospodarskie – i może wpadnę na jakiś pomysł właśnie tu, na ojcowiznie? Być gospodarzem z maturą – to brzmiało oryginalnie... i przekornie modzie na wrywanie się w świat, choć moi serdeczni koledzy, z reguły o dwa lata ode mnie starsi, szykujący się do egzaminów wstępnych, nie wierzyli, że wytrzymam na tym Lipiu. Ja też nie byłem pewien, że wytrzymam, ale... póki co – rozglądałem się za robotą w Rzeszowie.

Rozglądałem się – i bez trudu w jakimś urzędzie od zatrudniania zaproponowali mi pracę natychmiast: w mieście Strzyżowie na południe od Rzeszowa nad Wisłokiem na koloniach dla dzieci, bo tam mają awarię na stanowisku higienisty, a wśród moich papierów, które przeglądamo, znajduje się papier o odbyciu stosownego kursu w ramach przysposobienia wojskowego. Nazajutrz, pogadawszy mało-wiele z Rodzicami, pojechałem do Strzyżowa. Tam była kolonia i potrzebowali człowieka, który by rozmaite papierkowe roboty załatwiał. To było chyba w starym pałacu Wolkowickich i Konopków.

Już się na tej kolonii rozgościłem – a bardzo mi się ona podobała – kiedy przyszła z Lipia od rodziców wiadomość pocztą, że dostałem ze szkoły przesyłkę, która się nazywała: „Dyplom przodownika nauki i pracy społecznej”. Ja wprawdzie żadnych prac społecznych w szkole nie wykonywałem, ale miałem jedno wtedy z najlepszych świadectw maturalnych, a ten dyplom upoważniał do przyjęcia mnie na którykolwiek kierunek pozaartystyczny w każdej uczelni.

Wziąłem „dyspensę” od zwierzchności kolonijnej i pojechałem naradzić się do domu. Tato, któremu moje wcześniejsze medytacje niezbyt się podobały, a był to człowiek roztropny, powiada: „Marnować taką okazję – to źle. Jedź do jakiejś szkoły...” A ponieważ moi trzej bliscy koledzy spośród „dojeżdżających” poszli na filologię polską do Wrocławia, to ja też pójdę na polonistykę, tylko że bliżej, bo do Krakowa.

Znów zameldowałem się w Strzyżowie, bez szemrania dali ze dwa dni wolnego, w Rzeszowie kupiłem bilet do Krakowa, w Krakowie poszedłem do dziekanatu ze wszystkimi papierami – była chyba połowa lipca – w dziekanacie pustki, a dyżurująca tam pani powiada: „Ależ tak, chętnie przyjmiemy, świadectwo bardzo przyzwoite, a gimnazjum rzeszowskie nie od dziś znamy”. I dodaje niepokojąco: „Niestety, akademiki już zostały porozdzielane po egzaminach wstępnych, to chyba pan musi na stancji...” Pytam się: „A ile u was stancja kosztuje?” Tyle a tyle. Wydało mi się za dużo. Stypendium pewnie nie dostanę, bo w Rzeszowskim moja sześciu- i półmorgowa kategoria to standard „średniorolny”. Korepetycjami pewno nie zarobię, bo tutaj podaż studenckich mądrałi korepetujących na pewno nie mała. Stoję zmartwiony, bom już zaczynał nawykać do myśli o studiowaniu, a pani w dziekanacie radzi mi: „niech pan na razie idzie do jakiegoś miasta, gdzie jeszcze mają wolne akademiki; po pierwszym semestrze zwykle i u nas zwalniają się miejsca, to pan tu wróci”. Widząc moje strapienie, ta pani zlitowała się: „Zapytam się, gdzie mają miejsca”. I prawdopodobnie miała jakieś przecieki, bo za pół godziny (wtedy na telefoniczne połączenia międzymiastowe długo się czekało) już słyszę: „W Łodzi mają na pewno?”

No to pojedziemy do Łodzi. Zaraz z Krakowa dzięki pani z dziekanatu poszły papiery.

Nawet nie wiedziałem, gdzie ta Łódź się znajduje, bo ze stanowiska rzeszowskiego wiadomo, gdzie jest Kraków, gdzie Lwów, a nawet Lublin – ale nie Łódź. Pod koniec września pojechałem i oczywiście w Łodzi zostałem. Nowi koledzy przywitali mnie podejrzliwie: „co to za jeden – na egzaminach wstępnych nie był...” Ale szybko się „przyjąłem”. A jak przyszedł koniec semestru, to łódzcy kamraci mówią: „Czyś ty zgłupiał? Wracać do tego Krakowa? Do tych centusiów? Tutaj Łódź, miasto piękne [rzeczywiście: w pokaleczonej wojną Polsce imponująco... secesyjnie!], robotnicze, ludzie niepretensjonalni, solidni, pracowici... Profesorowie wysokiej klasy...”

Kraków profesorski zawsze miał zasłużoną renomę, ale i w Łodzi nie brakło znakomitych. Językoznawstwo dzierżyli prof. Karol Deyna i prof. Zdzisław Stieber, teorię literatury prof. Stefania Skwarczyńska, literaturę staropolską prof. Jan Dürr-Durski, Oświecenie prof. Zdzisław Skwarczyński, romantyzm prof. Stefan Kawyn, literaturę powszechną prof. Jan Trzynadłowski...

Zostałem do końca studiów w Łodzi, choć Rodzice moi się denerwowali: „Przecież gdybyś przyjechał do tego Krakowa, to byłoby bliżej”.

M. K.: Nie żałował Pan, że nie został księdzem albo doktorem – do wyboru?

J. B.: Księdzem nie byłbym dobrym, zresztą zawód ten nie pociągał mnie, a co do medycyny – nawet przez moment myślałem o tym, ale... bałem się zajęć w prosektorium.

M. K.: Panie Profesorze, studia na uniwersytecie wypadają na lata 1951–55, to były czasy ciężkie, przede wszystkim ekonomicznie i politycznie, ale chciałabym, żeby Pan Profesor opowiedział, z kim miał Pan wykłady i egzamin z literatury z XIX wieku. Wiem, że profesor Stefan Kawyn był Pana promotorem pracy magisterskiej. Napisał Pan pracę o publicystyce Julii Woykowskiej. Czy już wtedy czuł Pan, że się Pan musi związać z wiekiem XIX?

J. B.: Nie, wtedy nie czułem. Miałem do wyboru seminarium oświeceniowe prof. Skwarczyńskiego, ale trochę mnie Oświecenie drażniło, choć profesor był mi życzliwy i przy końcu studiów nawet oferował mi asystenturę. Prof. Kawyn był wykładowcą statecznym i – rzekłbym – nobliwym. Pamiętam jego świetny wykład na rocznicę Mickiewiczowską w roku 1955. Ja już finiszowałem na jego seminarium i utwierdziłem się w tym roku 1955, że dobrze wybrałem. Większość znajomych wybierała tematy z literatury współczesnej. Mnie literatura współczesna nie wabiła nie tylko z przyczyn ideologicznych, lecz głównie dlatego, że wydawała mi się ryzykowna, niesprawdzona, narażona na kaprysy mody i stronniczość gustów gazetowych. Pracę magisterską sposobilem z autentycznym zaciekawieniem, bo o publicystyce Julii Woykowskiej niczego nie wiedziałem – temat zaproponował prof. Kawyn – i cieszyłem się, że coś dla siebie odkrywam. A że nie było w Łodzi „Tygodnika Literackiego”⁸ to pojechałem do Poznania, żeby ten „Tygodnik” przewertować. Pierwszy raz widziałem Poznań. Egzemplarze rozprawy oddałem ręcznie napisane (egzemplarz drugi przez kalkę), choć wszyscy oddawali teksty pisane na maszynie. Praca nie była najlepsza, ale nie za długa; zdaje się, że prof. Kawyn się nią nie zniecierpliwiał... A ja Woykowską polubiłem, ponieważ cenila romantyzm i demokrację, miała usposobienie lewicujące i dobre pióro.

Serce moje w Łodzi było przy pani Stefani Skwarczyńskiej⁹. Wszystkich nas zresztą na polonistyce urzekła przenikliwością myślenia, horyzontem intelektualnym, wiedzą ogromną, taktownością i macierzyńską... dobrocią. Wiedzieliśmy, że boleje po tragicznej śmierci córki, która z gronem koleżanek na jakimś harcerskim obozie utonęła na jeziorach mazurskich – ale nigdy o tym nikomu nie napomknęła. Jej wykłady z teorii literatury wydawały się nam niemal natrętnie klarowne lub zgoła prostacze, co przyjmowaliśmy jako wyraz jej dbałości dydaktycznej

⁸ Chodzi o wychodzący w Poznaniu „Tygodnik Literacki” (1838–1845), którego wydawcą był Antoni Woykowski, mąż Julii.

⁹ Profesor Stefania Skwarczyńska (1902–1988), teoretyk i historyk literatury, teatrolog.

o ułatwianie nam opanowywania materiału. Na egzaminach stawiała zwykle czwórki albo piątki, co nas trochę krępowało, a że lubiliśmy ją i szanowali, to nawet niesklonni do teorii coś tam próbowali przeczytać. Pamiętam, że kiedyś poprosiła mnie, bym zaniósł z jej domu na Julianowie pakiet wydanych utworów studenckich sprzed paru lat jako przykład wydawniczej aktywności pokolenia Woroszylskich. Jadę na ten Julianów, który wygląda jak wieś, a tu malutki kościół chyba drewniany, otoczony ogromnymi fundamentami kościoła murowanego. Czasy były stalinowskie, ale Łódź – jak się potem dowiedziałem – dostała za zasługi rewolucyjne pozwolenie na budowę dwóch gigantycznych kościołów katolickich. Niedaleko od kościelnych murów stoi w ogródku domek ni to miejski, ni to wiejski, numer mi się zgadza, w ogródku ktoś w staroświeckim mantlu przycina gałązki krzewów. Podchodzę i pytam: „– Czy tu mieszka prof. Skwarczyńska?” I odpowiedź: „– A tak, zaraz ją zawołam...” Myślę sobie: „Co to za jeden? Chyba jakiś sługa”... Za chwilę okazało się, że to mąż jej. Potem, przy pożegnaniu, żeby czymś przypodobać się, mówię że taki okazały kościół jest tu budowany”. Pani Skwarczyńska popatrzyła na mnie melancholijnie i powiada: „Z jednej strony to się cieszę, ale z drugiej strony to mi smutno, bo ja w tym dużym kościele to się nie będę umiała modlić; w tym małym – umiem”.

Po latach, kiedy już wyszła książka *Poszukiwanie realizmu*¹⁰ i kiedy do „Zagadnień Rodzajów Literackich” napisałem na życzenie prof. Skwarczyńskiej jakieś hasła, a z prof. Aliną Kowalczykową redagowaliśmy *Słownik literatury polskiej XIX wieku*¹¹, uzgodniwszy rzecz ze współniczką napisałem do prof. Skwarczyńskiej list w stylu: „Kochana Pani Profesor, byłbym zaszczycony, jeśli by Pani, która ma za sobą monografię listu jako gatunku literackiego, przygotowała do nas hasło *List* albo *Korespondencja*”. Po miesiącu dostałem odpowiedź – prof. Skwarczyńska zawsze odpowiadała na listy – i czytam, że nie napisze, a mnie radzi bym się nie wdawał w tę robotę, bo u nas trzeba napisać wiele szczegółowych prac, nim się zacznie pisać porządne słowniki... Posmutniałem, robót przy *Słowniku* nie zaniechałem, a uczucia dla prof. Skwarczyńskiej, dziś już zmarłej, zachowuję niezmiennie.

M. K.: Wiem skądinąd, że Pana koleżanką z roku jest pani prof. Kwiryna Handke.

J. B.: Tak. Jej mąż Ryszard też. On już w czasie studiów przeniósł się do Warszawy.

M. K.: Jeszcze ktoś?

J. B.: Długo kontaktowałem się i nadal kontaktuję się z „moją” Łodzią studencką. Np. z Jerzym Tyneckim (już nie żyje, kilkanaście lat pracował po studiach w UŁ), Janem Skotnickim (poszedł w życie teatralne, reżyserował wiele sztuk, był sekretarzem artystycznym Teatru Narodowego

¹⁰ J. Bachórz, *Poszukiwanie realizmu. Studium o polskich obrazkach prozą w okresie międzypowstaniowym 1831 – 1863*, Gdańsk 1972. Jest to praca doktorska Profesora.

¹¹ *Słownik literatury polskiej XIX wieku*, pod red. J. Bachórzea i A. Kowalczykowej, Wrocław 1991.

w Warszawie, odwiedzał mnie w Sopocie, a ja jego w Warszawie), z prof. Skwarczyńskim (parokrotnie „werbował” mnie do recenzowania – m. in. doktoratów), z kilkoma innymi „bliźnimi” z akademika, np. z Mieczysławem Kołodką, który po ukazaniu się podręcznika *Pozytywizm* pisuje do mnie listy, a niedawno wydał w Namysłowie obszerną książkę autobiografię „Tak wyrasta się na człowieka”; inni nasi rówieśnicy poumierali...

M. K.: Panie Profesorze, w 1955 kończy Pan studia i otrzymuje Pan nakaz pracy. Od września ’55 roku Profesor Bachórz – jeszcze nie profesor – rozpoczyna pracę w Liceum Pedagogicznym w Starym Targu. Od 1957 roku po likwidacji tej szkoły w Starym Targu Pan Profesor przenosi się do Kwidzyna i rozpoczyna pracę w tamtejszym Liceum Pedagogicznym. Teraz muszę przerwać opowieść Profesora, pozwolę sobie na dłuższy wywód. Kiedy myślę o Panu Profesorze, to uważam, że przysługuje mu przede wszystkim jeden najważniejszy tytuł: „nauczyciel”. I w jego przypadku to słowo brzmi zaszczytnie. Panie Profesorze, powiem to jeszcze raz głośno i z wdzięcznością dla Pana Profesora: jest Pan historykiem literatury, zasłużonym edytorem, badaczem, naukowcem, ale jest Pan przede wszystkim jedynym w swoim rodzaju nauczycielem. I przekonałam się po latach znajomości z Panem, że chyba nic Pana tak nie pociąga, tak nie elektryzuje, nic Panu nie daje takiego błysku w oku i nie przynosi takiej satysfakcji, jak praca, którą nazywam za Profesorem Bachórzem – belferką. Każdy, kto zna Pana Profesora wie, z jaką radością i satysfakcją potrafi Pan wspominać, opowiadać o uczniach, których miał Pan prawie 60 lat temu. Czytałam Pana wspomnienie o matematyczce z Kwidzyna, Zdzisławie Smodlibowskiej, która na zesłaniu w Altajskim Kraju była wychowawczynią w polskim sierocińcu podczas II wojny. Pan Profesor uczył interpunkcji, uczył literatury i jej interpretacji. Co ważne – od razu uczył Pan nauczycieli, a to jest szczególna misja. Panie Profesorze, chciałabym zapytać: czy warto i czy trudno uczyć cudze dzieci?

J. B.: Nie stawiałem sobie takiego pytania: warto czy nie warto? Wiedziałem, że tę robotę będę lubił, o oprócz tego uważałem, że to jest robota zaszczytna. Dla chłopaka ze wsi być nauczycielem w gimnazjum to był niewyobrażalny awans. To mnie satysfakcjonowało. Myśl o asystenturze, którą mi proponowano w Łodzi, zupełnie mnie nie wabiła, bo widziałem, że czasem asystent musiał chodzić na wykłady profesora, a my – studenci – jakeśmy chcieli. W liceum było się nauczycielem całą gębą. Zależało mi na tym, by uczniowie lubili przedmiot, którego uczę, i lubili szkołę. Do liceów pedagogicznych przychodzili kandydaci, którzy cenili swój przyszły fach. A przychodzili po surowej selekcji, bo zdawali egzamin wstępny z polskiego i matematyki, a nadto mieli badania słuchu i zdrowia fizycznego. O jedno miejsce ubiegało się zwykle pięcioro kandydatów, w „ogólniakach” natomiast stale panował niedobór.

Uczniowie liceów pedagogicznym pochodzili ze wsi i miasteczek. Tuzin lat pracowałem w tych liceach i nie widziałem ani razu dziecka lekarza, inżyniera albo jakiegoś bonzy powiatowego. To były dzieci naprawdę plebejskie: chłopskie, robotnicze, rzemieślnicze, dla których nauczycielstwo kojarzyło się z prestiżem. Od początku wiedziały, że idą do nauczycielstwa, chciały być nauczycielkami, bardzo się przykładały do praktyk, a opiekunami praktykantów byli w szkołach wytrawni nauczyciele. Czas pracy w liceach pedagogicznych wspominam jako sezon pomyślności, zwłaszcza że w Kwidzynie wypatrzyłem dziewczynę swojego życia (nie w szkole jednak) i porzuciłem stan kawalerski oraz tam urodziła się nasza córka .

Licea pedagogiczne zostały zlikwidowane. Najpierw wiejskie (w 1956 roku Stary Targ), potem wszelkie inne (Kwidzyn) i przez to zostałem służbowo przeniesiony do studium nauczycielskiego do Oliwy. Władza państwowa uznała, że nauczyciel powinien mieć zawsze wyższe wykształcenie. Do 2-letniego studium nauczycielskiego werbowano więc młodzież po maturach. Mało kto tu myślał o nauczycielstwie. Dziewczęta chciały się uczyć w wyższych uczelniach, a trafiły z konieczności na rodzaj degradującego kursu dwuletniego; chłopcy zapisywali się, by nie pójść do wojska. Sytuacja poprawiła się nieco, gdy tzw. półwyższy SN awansowano na trzyletnie wyższe studia zawodowe i przyklejono do WSP.

M. K.: Przypomnę, streszczę kolejne wydarzenia z Pana życia. Po likwidacji liceów pedagogicznych Pan się przeprowadził do Gdańska, żeby rozpocząć pracę w studium nauczycielskim w Oliwie. To były lata 1966–1969, a potem w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Gdańsku i lata 1969–1970. Po powołaniu Uniwersytetu Gdańskiego pracował Pan najpierw w Studium Pedagogicznym przy UG (lata 1970–1974) i od 1974 wszedł Pan do zespołu Instytutu Filologii Polskiej. Jak policzyłam: przez 20 lat, Pan Profesor skromnie, nie pchając się do pierwszych szeregów, nie zabiegając o zaszczyty, jest nauczycielem i uczy nauczycieli, wychowuje badaczy literatury.

Zanim opowie Pan o swoich początkach w Gdańsku i Sopocie, ja chciałabym zapytać Pana o coś jeszcze, o coś innego, jak mianowicie udało się Panu obronić przed wpływem Marii Janion, bo przecież chyba wszyscy, którzy znają profesor Marię Janion, którzy pisali pod jej skrzydłami, mówią o jej charyzmatycznym wpływie na siebie. A tymczasem Pan napisał pod jej kierunkiem pracę doktorską. Myślę, że nie uległ Pan jej magicznemu wpływowi, nie dał się Pan podporządkować, ale wręcz przeciwnie, narzucił Pan Profesor Marii Janion – osobie o bardzo poetyckiej, niepospolitej naturze – pracę o „prozaicznych” i „pospolitych” obrazkach prozą. Panie Profesorze, jak Pan poznał prof. Marię Janion? Jak Pan u niej opracował ten właśnie temat

i obronił pracę doktorską w grudniu 1979 roku na UG. Promotorem była Maria Janion, recenzentami: prof. Henryk Markiewicz i prof. Maria Żmigrodzka

J. B.: Do czasu WSN-u nie pisywałem niczego poza listami do rodziny i znajomych oraz opiniami o pracach uczniów w ich zeszytach. Ale już na początku w SN dyrektor Kazimierz Leja po ojcowsku ostrzegł, że trzeba by się doktoryzować, bo *oni*, ci co władają SN-ami, będą na to nalegać, „a ty jeszcześ w sile wieku”. I byłem w zgrzycie: co tu robić? Przejąłem się tym. Pogadałem ze znajomymi, podeliberowaliśmy z żoną – i wyszło na to, że trzeba będzie popробować. Może w Łodzi, bo tam pono doktoryzuje się z językoznawstwa mój bliski kolega. Ale ja nie chcę językoznawstwa. Zorientowałem się, że w SN mogę dostać urlop, że w gdańskiej WSP jest już studium doktoranckie i że doktoraty literaturoznawcze ze staropolszczyzny promuje prof. Nadolski dojeżdżając z UMK Torunia, doktoraty o pozytywizmie i tematyce kaszubskiej pisze się pod pieczę tutejszego prof. Bukowskiego, a romantyzmem trudni się prof. Janion, dojeżdżająca z IBL-u z Warszawy. Jej nazwisko znałem, bom w Kwidzynie poznał *Zygmunt Krasinski – debiut i dojrzałość*. Myślę sobie: pójdę do prof. Janion. Dopytałem się w WSP o terminy jej przyjazdów – i poszedłem.

Rozmowa miała mniej więcej taki przebieg: „– Pani profesor, chciałbym prosić panią o opiekę nad moją itd.” „– A co pan robi?”. Ja mówię: „– Uczę młodzież w liceach i teraz w SN”. Profesor: „–Ale czym się pan interesował do tej pory? Jakiej literatury pan uczył? Ma pan jakieś publikacje?” Ja: „– Uczyłem literatury od Homera do Iwaszkiewicza. Publikacji nie mam”. Pani profesor kwituje to dobrotliwie kwaśnym uśmiechem: „...ale pan wie, że ja się trudnię romantyzmem?”. Ja mówię: „– Wiem”. „– Jaki był temat pana magisterium?” Mówię, jaki i gdzie. „–No to, może by się pan zajął np. ironią romantyczną?” Ja mówię, że – nie chciałbym. Potem pani profesor wymienia jeszcze kilka innych tematów – każdy mnie wprawia w zakłopotanie. „To właściwie ja nie mam dla pana tematu. Chyba że jakieś obrazki...” Ja mówię: „– A co to są obrazki?” „– Były takie, były. Niech pan się rozejrzy i spyta pana Szczepińskiego”. Oczywiście spytałem i zorientowałem się – pan Szczepiński mi powiedział, że obrazki rodzajowe wplatała do swoich powieści Jaraczewska. To już był jakiś trop. Zajmę się tym. Prof. Janion przy kolejnym spotkaniu zaciekała się moim straceńczym zamiarem i bez ironii zaprosiła na swoje seminarium: „– Niech pan pochodzi i zobaczy, o czym i jak tam mówimy, a potem zobaczymy”. Skorzystałem z szansy. Zaintrygowała mnie atmosfera tego seminarium i jego rozmach tematyczny. Zaczynałem poznawać grono sympatycznych, bystrych, odcytanych w najnowszej literaturze i wnikliwych uczestników. Zauważyłem też, że merytorycznej pracy naukowej towarzyszy tu erudycyjny i retoryczny popis i że seminarzyści łapczywie chłoną (i zapisują) to, co słyszą od prof. Janion, ona zaś rzeczywiście ma do powiedzenia rzeczy dalekie od banału.

Konsternował mnie podszyty strukturalizmem język debaty literackiej, odbiegający od prostaczego, „realistycznego” żargonu psychologizująco-socjologizującego, do którego nawykłem – ale w skrytości chwilami samoobronnie specjalnym szyfrem ewidencjonowałem mnożone przez poniekórych słowo „jakby”, mające ubezpieczać od prostactwa: „jakby melancholia”, „jakby pogoda”, „jakby fragment”... Nie wszystko w tych wypowiedziach rozumiałem, ale pocieszałem się, że mniej-więcej rozumiem, co mówi doktorantka Małgorzata Czermińska i co mówi... sama prof. Janion. Pomyślałem, że jeśli można tak mówić, to ja tutaj chyba wytrzymam... Okazało się, że bynajmniej nie oczekuje ode mnie jakiegoś poddaństwa, a otaczające je kultowe nastawienie uczniów nie jest żadnym jej wymaganiem, lecz skutkiem ich zapotrzebowania na charyzmatyczną osobowość przywódczą. Pierwsze moje „wystąpienie” w roli referenta fragmentu pracy zakończyło się w konwencji zachęcającego komplementu od prof. Janion. Coś w tym sposobie: „Rzecz wygląda sensownie”. To mnie niemal uskrzydlało, choć zdawałem sobie sprawę, że jest w tym zachęta dla 34-latka spóźnionego na start. Po drugim z kolei „występie” było coś w rodzaju: „E, że też pan teraz...” – i następował zasłużony mój powrót do rzeczywistości. Wśród takich wahań po niespełna trzech latach ślęczenia przedstawiłem pani profesor wersję całości, przedtem nieraz wspomaganą jej pomocnymi sugestiami. I słyszę pytanie: „Co się pan tak śpieszy?” Ja półgłosem tłumaczę, że muszę solidniej zabrać się za pracę zarobkową, bo mam rodzinę. Pani profesor na to: „Rozumiem!” Wzruszyło mnie to niespodziewane „rozumiem” i dopowiedzenie, że wobec tego szybko przeczyta tę pracę. Rzeczywiście przeczytała zgoła ekspresowo. Zgłosiłem się po odbiór – uznała, że może to przyjąć, choć wolałaby, bym miarkował swoje sympatie dla tej literackiej drobnicy, bo Wyka nie bez racji w Wyznaniach uduszonego napisał, że „pocziwa” marna literatura to jednak marna literatura. Stonowałem trochę te – nieliczne zresztą – aprobatywne o niej zdania, ale niektóre zostawiłem. Oddając tekst ponownie przeglądnięty, przyznałem się jednak, że trochę polubiłem tę drobnicę i nie chciałbym jej postponować. Prof. Janion skwitowała to jakimś „niech będzie” i orzekła, że przedstawi Radzie Wydziału WSP wniosek o posłanie pracy do recenzentów. Zaciekało mnie żywotnie, do jakich. Okazuje się, że chce proponować Radzie Wydziału prof. Marię Żmigrodzką z IBL – widziałem ją kiedyś na spotkaniu w WSP – i prof. Henryka Markiewicza z UJ. Przy drugim nazwisku zdrętwiałem: to była w moim mniemaniu legenda wszechwiedzy literaturoznawczej – prosiłem, żeby nie... Nie pomogło i praca została wysłana do prof. Markiewicza. Przez dwa czy trzy miesiące miałem samopoczucie nieco rozdygotane, aż prof. Janion, przyjechawszy na zajęcia do WSP i mówi mi: „Praca pana prof. Markiewiczowi serio się podobała i pani Marynie Żmigrodzkiej też”. Bardzo mnie to podniosło na duchu. Otrzymałem nie tylko doktorat, ale i lekcję kunsztu recenzenckiego, z której w przyszłości korzystałem, a której sedno na tym

polega, by czytać cudze prace (a w roli recenzenta czytałem ich wiele) nie w intencji dogodzenia swoim oczekiwaniom ideowym czy gustom estetycznym, lecz w poszukiwaniu ich dociekliwości, ładności myślowego, lojalności i wkładu do dotychczasowego stanu wiedzy na wybrany temat.

J. B.: Będziemy kończyć, bo to już pora na finał.

M. K.: Trzeba jednak przypomnieć, że jest Pan jednym z pierwszych, jeśli nie był Pan pierwszym, który upomniał się o obecność w polskiej refleksji badawczej prozy powstałej od pierwszej połowy dziewiętnastego stulecia do czasu powstania styczniowego w Pana rozprawie habilitacyjnej *Realizm bez „chmurnej jazdy”*¹². W czasach dominacji poezji romantycznej Pan przywrócił rangę prozie. Profesor Grażyna Borkowska napisała recenzję pod znaczącym tytułem: *Cicha zdrada Józefa K. opisana przez Józefa B.*¹³ Ja chciałam Pana zapytać, skąd się wzięły takie Pana zainteresowania „wieprzowatością życia”?

J. B.: Proszę Pani, ja bym rad się upewnić, że nie doprowadzimy mojej biografii do dziś.

M. K.: Ale ja mówię o tematach...

J. B.: Niechby to było ostatnie pytanie. Nie dokończymy. Między nami, tak jak między ludźmi, którzy się lubią, zostaną zawsze jakieś niedopowiedziane słowa, na to nie ma rady. Gdyby zaś ktoś z Państwa chciał mnie o coś zaindagować, to będę do dyspozycji po oficjalnym zakończeniu obecnego spotkania.

Jeśli zaś nie XIX-wieczną mową wiązaną głównie się zajmuję, lecz prozą, to nie z dystansowania się od poezji się bierze, lecz z tego po prostu, że uznałem – szumnie mówiąc – istnienie zapotrzebowania społecznego na docenianie prozy tamtego czasu. Poezja zaczarowała nas wszystkich i wszędzie się o niej pisze, ale przecież mieliśmy i dobrą prozę. Po Poszukiwaniu realizmu poszedłem do oficyny, które wydała to Poszukiwanie, i pytam, czyby wydali moją historię naszej XIX-wiecznej powieści. Szef ówczesny tej oficyny pyta się: „A pan to potrafi?” Ja mówię, że próbuję. „No to – powiada on – my nie będziemy ryzykować próbowania”. Przy jakiejś konferencyjnej okazji prof. Markiewicz, słysząc o moich problemach, radzi: „Niech pan się zajmie po tych obrazkach np. Korzeniowskim”. Myślę więc: „Korzeniowski to pisarz przyzwoitej klasy, Kollokację się czytało w szkole ...” Zacząłem przeglądać jego dramaty, przypomniała mi się piosenka Czerwony pas¹⁴, ale później, pisząc o jego powieściach, zahałem przy Tadeuszu Bezimiennym i Krewnych, bo wtedy jeszcze nie przeczytałem porządnie Omyłki i Lalki i Prusa, a tak siarczyście u niego nasiadł emigrant Julian Klaczko za rusofilstwo, tymczasem miało ono – jak i u Prusa – początek w jego własnej biografii. U Korzeniowskiego zakorzeniało się w doświadczeniach kijowskich i charkowskich oraz przy zakładaniu Szkoły Głównej, u Prusa

¹² J. Bachórz, *Realizm bez „chmurnej jazdy”*. Studia o powieściach Józefa Korzeniowskiego, Warszawa 1979.

¹³ G. Borkowska, *Cicha zdrada Józefa K. opisana przez Józefa B.*, „Teksty” 1981, z. 2 (56), s. 128–133.

¹⁴ *Czerwony pas* to popularna pieśń z dramatu *Karpaccy górale* (1834) Józefa Korzeniowskiego.

w „przygodzie” koło Siedlec, gdy na polu bitwy jako szesnastoletniego rannego partyzanta, zostawionego na polu bitwy przez swoich, dowieźli go do szpitala Moskale. Obaj – i Korzeniowski, Prus – mieli przekonanie, że ludzie są wszędzie tacy i siacy. W Konradzie Wallenrodzie „i Niemcy są ludzie”. A w Panu Tadeuszu oprócz łajdackiego majora Płuta jest zacytowany kapitan Rykow.

Potem jednak przyszło mi – na życzenie IBL-owskich gremiów, w tym zwłaszcza prof. Janion – współredagować z prof. Kowalczykową *Słownik literatury polskiej XIX wieku*. Zaczynam tę robotę, aż tu dostaję w pewnym momencie list od Jana Błońskiego, z którym spotykałem się na konferencjach, a potem i na prorektorskich forach po pierwszych wolnych wyborach uniwersyteckich, po których pracowałem za „przybocznego” przy Robercie Głębockim¹⁵. Co prawda kadencja była krótka, bo cała ekipa rektorska została przez władze stanu wojennego posłana „do kosza”, ale po „zsyłce” miałem już więcej czasu, gdy nadszedł ten list. W liście „stało” mniej więcej tak: „Pan zrobisz *Lalkę* dla Biblioteki Narodowej, bo nareszcie wydaje ona utwory dwutomowe”.

Zbaraniałem: jaką *Lalkę*, po co *Lalkę*? Potem się okazało, że *Lalkę* miał opracować prof. Markiewicz, ale Markiewicz zasugerował prof. Klimowiczowi i prof. Błońskiemu¹⁶, bym to zrobił ja. W takich razach oni uznali, że skoro Markiewicz tak mówi, to – *etc.* Napisałem panu Błońskiemu czy może powiedziałem o swoim wahaniu, strasząc, że *Lalka* będzie wymagała góry przypisów – chyba ze 12 arkuszy. Dostałem odpowiedź czy list w stylu – jak to u Błońskiego bywało – mniej więcej takim: „Coś pan, z choinki się urwał, co pan książkę chce pisać, drugą *Lalkę*”. Potem były pretensje od profesora Markiewicza, który nie zakwestionował żadnego przypisu, natomiast podrzucił mi materiały do kilkudziesięciu jeszcze innych, które by wymagały przynajmniej 5 arkuszy. Przygotowałem je też.

Kiedy *Lalka*¹⁷ się ukazała, dostałem zamówienie na wybór *Kronik* Prusa¹⁸, potem od Ossolineum pytanie: „Może by pan zrobił jeszcze coś dla nas? Może *Nad Niemnem*”¹⁹. No to i dobrze. W naszym fachu powinno się robić niekoniecznie i nie wyłącznie to, co się lubi; powinno się robić to, co jest potrzebne. W pewnym momencie człowiek, który w coś się zaangażował, może to polubić, choć nie podejrzewał na początku, że polubi. I ja polubiłem *Lalkę*, której w Rzeszowie nie doceniałem, a nawet *Nad Niemnem*.

Nad Niemnem mnie zdziwiło, gdy w związku z tą powieścią pojechałem do Bohatyrowicz i paru miejscowości sąsiednich, m. in. do Miniewicz i do Lunnej. Zawiózł mnie przyjazny

¹⁵Prof. Robert Głębocki, astrofizyk, rektor UG w latach 1981–1982. W tym czasie prof. Bachórz był prorektorem.

¹⁶Mieczysław Klimowicz razem z Janem Błońskim – ówcześni redaktorzy Biblioteki Narodowej.

¹⁷B. Prus, *Lalka*, t. I–II, oprac. J. Bachórz, Wrocław 1991.

¹⁸B. Prus, *Kroniki. Wybór*, oprac. J. Bachórz, Wrocław 1994.

¹⁹E. Orzeszkowa, *Nad Niemnem*, t. I–II/III, oprac. J. Bachórz, Wrocław 1996.

Białorusin z Uniwersytetu Grodzieńskiego i mogłem posłuchać, jak tam się mówi, jak ze sobą i ze mną gadają kobiety w moim wieku. A gadają jak gdyby przemawiały: całymi zdaniem i chwilami jakby uroczyście. „Boże moj! – myślę – przecież tu się tak naprawdę gada!”. To nie polszczyzna dialogów z *Lalki*, gdzie grają różnaitością tonów i osobiwości składniowych, „żywcm” gotowych do odegrania naturalnego polskiego mówienia w scenach teatralnych czy filmowych. W filmowym *Nad Niemnem* dialogi trzeba na użytek dzisiejszego polskiego odbiorcy na różne sposoby skracać i trochę przeinaczać, by nie brzmiały recytatorsko. Ale po wizytach na Grodzieńszczyźnie polubiłem słyszeć w *Nad Niemnem* tamtejsze przedziwne gadanie, niezwykle mowę domową polskich zaścianków, ale tamtejszych „tubylców”, którzy niezbyt się kłopotą nad przynależnością etniczną ale gadają, jak gdyby nasiąkli retoryką kaznodziejów sprzed paru stuleci. Polubiłem to *Nad Niemnem*.

Proponuję, żebyśmy na tym zakończyli.

Niechaj ci którzy tak wytrwale doczekali do końca zechcą przyjąć solenne *gratias ago* stokrotne za to, że przyszli, i tym *gratias* serdecznie obdziękowani poczuli się na resztę dnia wolni jako ptakowie niebiescy.

M. K.: Na zakończenie coś dla Pana Profesora w prezencie. Jak Państwo wiecie, ukazał się *Mendel studiów i szkiców o „Lalce”*²⁰. Profesor Bachórz bardzo lubi rozmaite tuziny i mendle, w związku z czym ja sobie pozwoliłam też taki mendel przygotować. W ubiegłym roku w listopadzie, gdy się dowiedziałam, że to spotkanie będę prowadzić, to wróciłam do domu i musiałam to zrobić. Napisałam dla pana mendel strof.

Mendel strof na cześć Profesora Józefa Bachórze

Drogi nasz gościu, cny Profesorze!
Bardziej niż liście na wietrze może,
bardziej niż pajak uczepion nitki,
tak dziś z emocji wprost drżą mi lydki.

Boć nie ma Muzy, ducha ni czleka,
co by mógł długi sznur ponawlekać
zasług, talentów, cnót Profesora.

²⁰ J. Bachórz, Spotkania z "Lalką". Mendel studiów i szkiców o powieści Bolesława Prusa, Gdańsk 2010.

A dzisiaj wspomnień nadeszła pora.

Na słowo „Bachórz” już skojarzenia

mkną do pamięci, więc je wymieniam:

„papiros”, krawat, Be-eN i „E-e!...” – [tu wymowne machnięcie Bachórzowej ręki]

– mówiące, czym się przejmować, czym nie-e.

Lipie i Sopot. Tatulo, mama,

wnuczki kochane. Życzliwość sama

i skromność. Belferka oraz Jego uczniowie:

Stary Targ, Kwidzyn. Prozą dopowiem

jedno: „Tylko prowadźcie się, dziewczyny, moralnie!”

Charakter pisma i styl pisania,

co indywidualność odsłania!

Janion i U-Gie. I ważne sprawy –

– często Go wozi ekspres z Warszawy...

Linijka, którą Profesor mierzy

dywiz i myślnik, a bądźmy szczerzy:

kto by to mierzył!?! I ortografia!

Tu Bachórzowi się nie przytrafia

ni błąd, ni błędzik, bo Nauczyciel

z Niego prawdziwy. Sami widzicie,

że nie masz w Polsce dziś polonisty,

co by nie ujął Go w swe przypisy.

Bachórz wie wszystko. I wszystko powie
serdecznie, ciepło. Tak słuchaczowi
zda się, że dlań jest ważny i miły.
Zawsze objaśni problem zawiły:

Czym jest romantyzm, a czym romanse,
i czym na Litwie powietrze pachnie.
Co robił w Wilnie Chodźko Ignacy,
a co Kraszewski robił po pracy.

Co Julian Klaczko myślał o bliźnich,
a bliźni o nim. Jacy mężczyźni
są w życiu heroiny romansu.
Ile Wokulski uszedł dystansu

pieszo z Skierniewic. Oraz co sobie
myślał Bóg o Swym Ślimaku-Hiobie.
Co wyrzekł Balzac, gdy spotkał Hańską.
O czym Mickiewicz gadał z Towiańskim.

Wie, co o Prusie rzekł doktor Szuman,
co widział Adam, pisząc, że „tuman
pod nowogródzką ścielił się wieżą”.
On zna gatunki książkowych zwierząt.

I zna akrostych, co w epepei
wieszczą Adama tkwi. Kto ośmieli
się w szranki stanąć z mym Profesorem?

Dla Swoich uczniów pięknym jest wzorem!

Wie, ile kleksów jest w rękopisie

Elizy O.! Coś widzi mi się,

że z tych to punktów już się wynurza

rozpiętość myśli i miar Bachórza.

Jak Go nie kochać? Jak nie szanować?

Niech mi więc wolno będzie zrymować

jedno z słów modnej dziś nowomowy:

Profesor Bachórz jest ZJAWISKOWY!!!

Panie profesorze, serdecznie dziękuję za spotkanie, a państwa zapraszam do zadawania pytań.

J. B.: Ja jeszcze chciałbym serdecznie podziękować Pani przede wszystkim i tym z Państwa, którzy w tym Instytucie przeżyli ze mną kopę lat, ale także i Pani Beatce Obsulewicz-Niewińskiej, która przyjechała tu z Lublina, a szefuje potężnemu zespołowi, który ma przygotować czterdziestotomowe z kawalkiem wydanie dzieł Bolesława Prusa. Jest, naturalnie, uczennicą profesora Fity, gdyż wszyscy zainfekowani Prusem w Lublinie to są Fityści. Patrząc tutaj na panią profesorkę Martuszevska, która najdłużej z tu obecnych ze mną wytrzymała tutaj i ma prawo do szczególnych moich względów wdzięcznościowych. Są państwo Krystyna i Stefan Chwinowie! Wszystkich bym się spodziewał, ale nie ich. Ja mam wobec Pana Stefana dług, bo Pan ten mój wyrób o *Lalce* przejrzał albo i przeczytał, a potem napisał ogromny list. Obiecałem sobie, że Panu odpiszę – to jest list z konstatacjami godnymi uwagi najwyższej – więc marzę o tym, by zdążyć przed Panem Bogiem. Tym bardziej, że jest to o *Lalce* opinia, z którą w niejednym się zgadzam, a w jednym niezbyt się zgadzam.

Naturalnie, widzę tutaj pana dziekana Rośka, który na dodatek jest tu potęgą wydawniczą, to od razu się czuję zawstydzony i zobowiązany. Widzę dyrektora Bolesława Oleksowicza. Widzę panią Grażynę i pana Feliksa Tomaszewskich, którzy przyszli do pracy na uczelni po latach roboty szkolnej. Jest pani Elżunia Mikiciuk, jest Pani Magdalenka Dalman, która się trudniła pod moją komendą pisaniem o *Dziadach* Mickiewicza, a dzisiaj doszła nas wiadomość, że recenzent jej

doktoratu, biskup Jan Szlaga²¹, pożegnał ten świat. Siedzi w moim pobliżu pani Basia Zwolińska, która żarliwie polubiła Żmichowską.

Jeśli kogoś pominą, to bardzo proszę, żeby mi darował nieuwagę. Wszystkim zaś tu wymienionym i niewymienionym gorąco dziękuję za życzliwość, którą mi Państwo nieraz objawialiście. Niczego więcej nie chciałbym się dorobić, a tego, czego się w kontaktach z Państwem dorobiłem, nie chciałbym stracić.

Zapis z nagrania: Katarzyna Panfil – Redakcja: dr Magdalena Kreft-Świetlik, Katarzyna Warska

²¹ Ks. Bp Jan Bernard Szlaga zmarł tego samego dnia – 25 kwietnia 2012 r.